

PORADNIK JĘZYKOWY

Wychodzi w objętości jednego arkusza na początku każdego miesiąca z wyjątkiem sierpnia i września.

Adres Redakcyi: Kraków, ul. Ambrożego Grabowskiego l. 3, II p.

Przedpłata roczna wynosi:
w Krakowie K. 2 hal. 50., z przesyłką pocztową K. 3; w Warszawie rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 80; w krajach należących do związku pocztowego franków 4.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą, a zwłaszcza ekspedycje główne: w Krakowie księgarnia G. Gebethnera i Sp. (Rynek główny 23); w Warszawie księgarnia E. Wendego i Spółki (Krak. Przedm. 9).

Reklamacje zaginionych nrów uwzględniamy tylko do wyjścia nru nowego.

Z BADAŃ NAD JĘZYKIEM POLSKIM.

9. „Filologia i lingwistyka“.

Taki tytuł nosi wydany we Lwowie pod sam koniec 1908 r. „szkic polemiczny Aleksandra Brücknera“. Pod pewnym względem łączy się on więc z poprzednim moim artykułem (Por. jęz., listopad 1908), w którym przy nadarzonej sposobności rozpatrywałem różnicę między kierunkiem filologicznym a lingwistycznym (ściśle językoznawczym) w badaniach językowych i scharakteryzowałem pokrótce dwu głównych w Polsce reprezentantów tych kierunków: profesorów Brücknera i Baudouina de Courtenay. W wymienionej broszurze kwestya zasadnicza, tytułowa, traktowana jest właściwie ubocznie i mimo częstych w tym kierunku wycieczek nie doczekała się jasnego, uzasadnionego rozpatrzenia. Bardzo plastycznie występuje tu natomiast pewna strona charakteru autora, widoczna zwłaszcza w stylu: chaotycznym i ...niemal karczemnym. „Zła wola i uprzedzenie“, „niedorzeczności“, „błazeństwo“, „przekręcania prawdy“, „grube nieuctwo“, „tumanienie publiczności“, „paszkwile“, „prof. Baudouin gada głupstwa“, „pieni się“, „plecie banialuki“, „plecie, co mu ślina do ust przyniesie“ — oto próbki Brücknerowskiego pióra, w odpowiedzi na dowcipne, nieraz nawet złośliwe, ale zawsze przyzwoite zarzuty przeciwnika. Wobec takiej niestychanej wprost metody bodaj czy nie najlepiej byłoby milczeć: „gniewasz się — więc nie masz racji“ — mówi przysłowie, a autor lubi się niemi posługiwać. Ponieważ jednak imię jego jest tak słynne, że już pojawiły się w gazetach o tem jego dziele sprawozdania, z góry „idące na lep tej powagi“, a także z pewnego osobistego względu nie chcę tu rzeczonyj broszury pominąć. Zresztą zupełnie „nie odpowiedzieć na nią, znaczyłoby brać udział w tumanieniu publiczności, gdyż *qui tacet, consentire videtur*, kto milczy, przyzwala“ — powiada

autor. Uczynię to jednak krótko, gdyż do rozprawienia się z autorem trzeba by całej książki: nie dlatego, by dawał tak wiele faktów nowych lub myśli pobudzających do zastanowienia, lecz że pisze tak chaotycznie, nieściśle, iż samo niezbędne do dyskusji dokładne ujęcie rzeczy bardzo dużo zajęłoby miejsca, bez tego zaś porządnie dyskutować przecie nie można, można tylko... wymyślać.

Broszura wywołana jest bardzo ujemnymi recenzjami, jakie w 1. tomie „Rocznika slawistycznego“ napisali o Brücknerowskich „Dziejach języka polskiego“ pp. Ułaszyn i Baudouin de Courtenay. Pierwszego z nich autor prawie że pomija, szkoda mu „czasu i atlasu na nulę, jaką na razie przedstawia“ człowiek, który »spłodził dotąd tylko jedną marną dysertację“, a „braki własnej pomysłowości łata nicowaniem prac cudzych“. Mnie się zdaje, że można nie mieć pomysłowości i samodzielności, potrzebnych do prac oryginalnych, można pisać „sucho, nudnie i pedantycznie“, a mimo to być zupełnie uprawnionym do pisania recenzji: innych przecie wymagają one kwalifikacji, przede wszystkim znajomości przedmiotu i sumiennosci. Takie recenzje są mimo swych wad zawsze pożądane w kraju, gdzie o „Dziejach“ prof. Brücknera pojawiło się w miesięcznikach, tygodnikach a nawet w dziennikach mnóstwo recenzji entuzjastycznych, choć pisanych przez ludzi nie mających o przedmiocie pojęcia; pożądane są zwłaszcza co do językoznawstwa, które u nas tak się lekceważy, że bez żenady napisze z tego zakresu recenzję człowiek, cofający się przed recenzją np. z chemii, choć o obu jednak ma pojęcie. Prof. Br. woli jednak pobić przeciwnika swoim autorytetem: poświęca mu wprawdzie trzy strony, ale poprzedza je słowami: „przestrzegam zarazem czytelnika, że może ustęp o p. U. opuścić i zacząć rzeczą o prof. Baudouinie“. A zatem wobec nazwisk nieznanymi szerokiej publiczności — osłanianie się autorytetem, wobec znanych — obelgi: oto metoda polemiczna autora. Daje wprawdzie i argumenty, ale z góry można przewidzieć, że ogromna większość czytelników broszury nie zajrzy do owych recenzji, nie rozważy kwestyi spornych, bardzo często nawet rozważyć ich nie potrafi, uwierzy natomiast ślepo autorowi, który „się jak najchętniej przyznaje“ do ugania się za popularnością, w przeciwieństwie do prof. Baudouina, który wprawdzie nieraz wypowiada swe przekonania także wobec szerokiej publiczności, ale czyni to mimo faktu, że bardzo często są one niepopularne. Łatwo zgadnąć, kto u publiczności zwycięża.

Jakże wyglądają: recenzja prof. B. de C. i replika prof. Br. ? Pierwszy z nich zaczyna od zarzutów ogólnych: fałszywie pojęte popularyzowanie, polegające na unikaniu jednych terminów naukowych

a nieobjaśnianiu drugich, niejasność i niedbałość stylistyczna, następnie brak obiektywności naukowej, mieszanie liter i głosek, „gruby, powierzchowny i naiwnie mechaniczny sposób objaśniania historycznych procesów fonetycznych“, personifikowanie języka, wreszcie dopatrywanie w języku wyłącznie chaosu, anarchii, w skutek czego dla prof. Brücknera „np. z tych samych źródeł historycznych przy tych samych najzupełniej warunkach w tym samym języku... mogą istnieć jednocześnie i równorzędnie“ dwojakie formy — oto właściwości wykładu „oddziałyujące szkodliwie na umysłowość podających się jego wpływowi czytelników“; nuta przesadnie patryotyczna, wynoszenie języka polskiego ponad wszystkie inne — to znów zły wpływ moralny. Potem dopiero przechodzi autor „do wykazania błędów, oraz twierdzeń wzbudzających wątpliwości“; zaznaczając, że „nie oddziaływiają one szkodliwie na umysłowość czytelników“, wierny jest on swojej zasadzie, że jeden i drugi mylny szczegół mniej szkodzi od braku ścisłego, jasnego i obiektywnego myślenia. Wreszcie podkreśla zalety prof. Brücknera, który „imponuje ogromem wiedzy, zna gruntownie tyle zabytków języka, jak rzadko kto inny... daje bardzo dobry pogląd na początki piśmiennictwa polskiego“ i t. d.

Zupełnie inaczej postępuje w swojej replice prof. Brückner: „wystawię — powiada on — w właściwym świetle prof. Baudouina jako »etymologa« najpierw; potem jako »fonetyka«; w końcu jako »morfologa«; objaśnienia tych terminów znajdzie czytelnik poniżej“ — i przytacza cały szereg punktów, w których się z prof. B. de C. nie zgadza. Zajmują one większą część broszury. Moim zdaniem autor w niejednym szczególe ma rację, ale w tem nic dziwnego: w poprzednim artykule mówiłem o jego wielkiej bystrości i pomysłowości, prof. B. de C. przyznaje mu sam znakomitą znajomość zabytków języka — wszystko to jednak nie zmienia faktu, że prof. Brücknera zajmują przede wszystkim szczegóły, że do nich największą przywiązuje wagę. Sam wprawdzie objaśnia to tem, że jako „filolog uważa się za niewolnika faktów: najpiękniejszą teorię, aforyzm, pogląd im poświęca“, że „najdrobniejszy dobrze zaobserwowany fakt podważa mu najlepszą regułę“, gdy „prof. Baudouin, językoznawca, nie zniża się do nich, lecz nimi z gory komenderuje“, „cierpi na ostry *faktowstręt*“, „ubostwia regułę, normę, tak zwane prawo głosowe (choć żadnych *praw głosowych* niema)“ i t. p. — w rzeczywistości jednak rzecz ma się nieco inaczej.

Zapewne, prof. B. de C. zna znacznie mniej faktów ze staropolszczyzny niż jego przeciwnik, ale wcale nie poświęca ich dla sztucznych praw głosowych, o których pisze: „Przyzwyczajono się

przysięgać bez jakiegokolwiek zastrzeżenia na bezwzględną niezmienną tak zwanych »praw głosowych«. Wyznaję się heretykiem i pozwolę sobie zaprzeczyć istnieniu wszelkich »praw głosowych« (Zur Kritik der künstlichen Weltsprachen, Leipzig 1908, str. 25), a pisze po raz nie wiem który — jak się pokazuje, dla niektórych ludzi nadarmo. Pod tym więc względem niema różnicy między Baudouinem a Brücknerem. Widzi się ją dopiero z innych słów pierwszego z nich: »Jeżeli jednak mam wybierać między punktem widzenia wyszydzonych »zwolenników nowoczesnych praw głosowych« a punktem widzenia zupełnej naukowej anarchii, to staję stanowczo po stronie pierwszej«. (Archiv für slavische Philologie XXV 368). A więc prof. Baudouin uznawał oddawna (bodaj czy nie jeden z pierwszych), że »prawa głosowe« są tylko formułą, za pomocą której umysł ludzki uogólnia dane fakty, ale uznawał ich ważność dlatego, że przecież cała nauka jest tylko próbą ujmowania zjawisk w jakiś porządek: bez tego niema nauki, tylko bezpłodna erudycja.

Natomiast myli się co do siebie samego prof. Brückner, twierdząc, że »jako filolog zbiera i porządkuje materiał, służący lingwiście za podkład do uogólniań, do wniosków«, bo i on sam nieraz wyciąga wnioski i uogólnia. Tak np. pisze: »Jest regułka, że język polski zachował »nosówkę« (*a, e*); gdzie zamiast nosówki *u* się pojawia, jak w czeskim czy ruskim, to odnośne słowo polskie musi być nie polskie, pierwotne, własne, lecz obce, przejęte z czeskiego czy ruskiego; nie może być więc polskim np. *ruśnica* (*rusznica*, zamiast *rucznica*), musi być wzięte z czeskiego *ručnice*, tj. ręcznica... Że ta regułka fałszywa, domyślił się pierwszy i wypowiedział Karłowicz, co miewał trafne, głębokie pomysły, chociaż dzisiaj należy widocznie do dobrego tonu, znęcać się nad nim — por. artykuł o nim p. Nitscha w Poradniku Językowym, co mi żywo bajkę o lwie i kopnięciu oślim przypomniał¹⁾. Domyśl Karłowicza szerzej i głębiej

¹⁾ Tego »kopnięcia« mnie przez prof. Brücknera nie mogę zostawić bez scharakteryzowania. W wiadomej bajce na dwa punkty zwrócić się musi uwagę. Ze mnie autor, nie umiejący już dziś pisać bez obelg, pod względem wartości naukowej (oczywiście tylko językoznawczej, bo tylko do takiej mam pretensję i tylko o językoznawczej wartości Karłowicza pisałem) uważa za tak nieskończenie niższego od Karłowicza, to mnie zupełnie nie martwi: wiem dobrze, że ogół językoznawców (o których opinię pod tym względem jedynie dbam, w przeciwieństwie do prof. Br., który do uganiania się za popularnością »jak najchętniej się przyznaje«) nawet niewysoko mnie ceniąc, stawia jednak wyżej od Karłowicza. Nie może mi jednak być obojętnym punkt drugi, owo »ośle kopnięcie«, »znęcanie się«, oczywiście nad niemogącym się bronić. Otóż przypominam, że w odpowiednim miejscu (Por. jęz. VIII 97—101) wyraźnie zaznaczyłem powody mego wystąpienia, nie moją zaś chyba winą, że K. umarł przed wydaniem swego artykułu. Prof. Br. wyraził się tak lakonicznie, że nie wiem,

wystawiałem nieraz i twierdzę z największą pewnością, oparty o fakty niezbite, że liczne — nie wszystkie! formy z *u* są równie polskie — jak formy z *a*, *e*. Otóż to jest już wniosek: autor nie poprzestaje na skonstatowaniu, że w pewnej epoce istnieją jedne i drugie formy, ale twierdzi, że jedne i drugie są równie polskie. Jest to zatem także objaśnienie. Różnica zaś między niemi taka, że gdy tamto może być — jak każde objaśnienie — prawdziwe lub mylne, to przyjęcie, że przy tych samych najzupełniej warunkach mogą istnieć różne formy, doprowadza do zwątpienia w wartość jakiegokolwiek badania wogóle. Skromny lingwista w tym wypadku nie narzuca teorii, lecz stara się znaleźć właśnie różnicę warunków czyli daje jakąś hipotezę, świadomy dobrze jej niepewności i możliwości podważenia jej przez inne fakty — szczęśliwy „filolog“ prof. Br. zna widocznie wszystkie współdziałające przyczyny, skoro twierdzi, że warunki są zupełnie te same.

Jeżeli więc przytoczony przykład ma być jednym z dowodów na to, że w „językoznawstwie polskim panoszy się kierunek formalistyczny, wtłaczający bogactwo językowe w zbyt wązkie regułki“ (jak czytamy na dodanej do broszury okładce), to autor dowodzi nim tylko, że przeciwników swoich nie rozumie. (Niezrozumieniu temu sprzeciwiałoby się tylko rozmyślne chyba używanie wciąż terminu „regułka“ zamiast „prawo“, gdy dla lingwistów, a także chyba i dla inteligentnego ogółu, zasadnicza między temi pojęciami zachodzi różnica: „prawo“ jest ujęciem identycznych lub blizkich sobie pod pewnym względem faktów w jakąś formułę, możliwie odpowiadającą dzisiejszemu stanowi wiedzy — o niezupełnym stopniu jego ścisłości każdy jest przekonany, — natomiast „reguła“ jest

co mi właściwie zarzuca: czy twierdzi, że K. nie podawał fałszywych faktów i dowolnie wymyślonych teorii, czy też jest zdania, że podającego je autora należy wielbić ze względu na jego inne zasługi (o których wyraźnie powiedziałem). W pierwszym razie winien był prof. Br. rzecz udowodnić, co do drugiego zaś, to ja sądzę, że ponad wątpliwej wartości sentencję *de mortuis aut bene aut nihil* wyżej stoi interes nauki i publiczności. Że zresztą nie boję się i żyjących „powag“, dowodem fakt, że przed kilku jeszcze laty uczyniłem w krakowskiej „Krytyce“ prof. Br. jeden z tych zarzutów, które teraz skierowałem przeciw Karłowiczowi: podawanie w popularnym dziele dowolnych hipotez jako fakty. Oczywiście dla „powagi“ prof. Br. jestem za mały, by był obowiązany tłumaczyć się przede mną z obrażających mnie słów. Ale jeżeli istotą „osłego kopnięcia“ w znanej bajce jest kopnięcie kogoś, co się nie może bronić, to trudno nie przyznać, że tym razem właśnie „lew“ filologiczny wziął na siebie rolę „osła“: boć z mnóstwa czytelników tak zajmującym stylem napisanej broszury ogromna większość ani nie zajrzy do „Poradnika“ dla przeczytania mego artykułu, ani nawet o tej rzeczy swego sądu wydać nie może. Zwycięży oczywiście „powaga“ uganiającego się za popularnością autora.

jakimś praktycznym nakazem, obcym zwłaszcza lingwistom, dalekim od wyrokowania w sprawach poprawności językowej. I zdrobienie „regułka“ zupełnie tu jest nie na miejscu, bo teoretyczna wartość „prawa“ zależy od stopnia jego ścisłości, a nie od ilości obejmowanych faktów).

Jeżeli prof. Br. twierdzi, że „filolog zbiera i porządkuje materiały, służący lingwiście za podkład do uogólniań, do wniosków, to mniej więcej można się zgodzić na takie (niewystarczające zresztą) rozróżnienie dwu zakresów¹⁾, myli się jednak, jeżeli sądzi, że konflikt między nim a prof. B. de C. polega tylko „na pomieszaniu dwu rozmaitych dziedzin wiedzy i metod“, na tem, że B. de C. wtrąca się w obce mu pole, czego on, Br., rzekomo nie robi. Sam widzi, że w praktyce pola te tak zupełnie rozdzielić się nie dadzą. Jakkolwiek bowiem pisze: „pozostają mi obojętne zarzuty co do niedokładności, niefachowości całego wykładu“, „nie odpowiadam na wszelkie zarzuty, skierowane przeciw mojej np. personifikacji języka; przeciw mieszaniu brzmień i głosek (właściwie liter i głosek), „przeciw nieodróżnianiu ścisłemu terminów: język, narzecze, gwara i t. d. i t. d. Wszystkie te zarzuty chętnie na siebie przyjmuję: nic mi bowiem nie zależało na tym, aby je wyminąć. Tu chętnie ustępuję pola lingwiście“ — to przecież sam przyznaje, że właśnie dlatego złym był popularyzatorem: „umyślnie nie tykałem żadnych rzeczy ogólnych w moich Dziejach... w obawie, że w ciasnych ramach nie rozmieszczę należycie materiału historycznego — dziś widzę, że nadto skrupulatnie trzymałem się tego ograniczenia, że należało się przecież kilka uwag ogólnych, że nie należało wykluczać lingwistyki zupełnie“. „Pisałem wszystko jak najzwięźlejš — miecz Damoklesowy, wyma-

¹⁾ „Baje“ jednak, pisząc: „anim teź »wyraźny wziął rozbrat z całą niemal grupą językoznawców« jak baje Nitsch (coby kto pomyślał o historyku nowożytnym, coby »wziął rozbrat wyraźny« z socjologją?) Uznaję i cenię ważność lingwistyki, ale sam jej nie uprawiam, zajęty aż nadto filologją; słucham jej wskazówek — ale i historyk nowożytny wyśmiewa tylko socjologa, coby mu się wtrącał w kreślenie akcji jakiejś dyplomatycznej czy wojennej. Nie oganiaj cudzego prosa“. Mnie się zdaje, że nawet na nowożytnej akcji dyplomatycznej, nie mówiąc już o wojennej, odbijają się czynniki socjologiczne, a zupełne ich w danym razie pominięcie zdegradowałoby chyba „historyka“ do roli kronikarza. Muszę też tu stwierdzić, że prof. Br. „przekręcił, umyślnie czy nie, mniejsza z tym“ moje słowa, bo ja nie napisałem, że prof. Br. „wziął rozbrat“, tylko że „między filologiem Br. a całą niemal grupą językoznawców wyraźny już nastąpił rozbrat“, czyli zupełnie obiektywnie stwierdziłem fakt (co rzekomo tylko filolog potrafi), wstrzymując się nawet zupełnie od przypisania którejkolwiek stronie winy zamącenia dawnych jakich takich stosunków. Autor sam zresztą pisze o sobie i profesorze B. de C.: „nadto rozeszły się nasze kierunki, aby je kto mógł pogodzić“.

gane dziesięć arkuszy, wisiał nademną; wypadło więc niejedno dla owej zwężności niejasno, niedokładnie“.

Ostatnie słowa bardzo też są ważne dla ocenienia wartości bądź co bądź popularnych „Dziejów języka polskiego“. Widać z nich, że autor bardzo ma łyche wyobrażenie o popularyzowaniu, skoro brak miejsca odbił się u niego nie na wyrzuceniu choćby nawet wielu szczegółów, ale na pominięciu objaśnień i uwag ogólnych. W ten sposób można wprawdzie stać się popularnym, zaimponować czytelnikowi wiedzą, ale nauczyć go niepodobna. Choćby więc w niektórych szczegółach prof. Baudouin nie miał słuszności, to przecież słusznie zupełnie napisał, że książka prof. Br. „w głowie zwykłego czytelnika sprawia chaos i bezład myślowy“, że „dla ludzi nieprzygotowanych odpowiednio nietylko nie przynosi pożytku, ale, przeciwnie, jest bezwarunkowo szkodliwą“. Dodane zaś na końcu omawianej tu broszury aforyzmy, a właściwie sposób ich ujęcia, dowodzą, że prof. Br. dodał w niej do swego stylu nieznaną „Dziejom“ cechę — posługiwanie się obelgami, ale nie potrafił się wyleczyć nawet z tej swojej wady, do której się przyznał.

PS. 1. Wszystko to odnosi się do ściśle językowej części „Dziejów“. Gdzie autor zajmuje się powstawaniem języka literackiego, jego rozwojem stylistycznym, tam można się od niego nietylko niejednego dowiedzieć, ale i nauczyć.

PS. 2. „Przeprowadza zarazem »Szkic« właściwą ortografię, jakiej dla przyczyn od autora niezawisłych, w »Dziejach Języka Polskiego« nie zastosowano“. Ciekawa istotnie ta nasza ortodoksja ortograficzna: mogło przecież wydawnictwo było zrobić wyjątek dla autora, któremu powierzyło ten właśnie temat. Prócz znanych już wprowadza prof. Br. w tej pisowni dwie zasady upraszczające: *szcz, śc* zamiast *szcz, śc*, np. *uproszczona, pusc* i *o* zamiast *ó*: *rowny, ow*, jak pisano niegdyś. Przeciw samej zasadzie nicby oczywiście mieć nie można, czy jednak warto w pisowni walczyć o rzecz bezwzględnie przez wszystkich zarzuconą, to rzecz inna; wątpliwa też, czy wielu ludzi się zgodzi nazwać *szcz* „paskudnym, haniebnie szpecącym druk i tamującym pismo, najniepotrzebniej w świecie“, czy wielu zgodzi się, że „druk popstrzony kreskami, nierówny, niespokojny, razi oko“ i t. p. Rzecz ciekawa, że nawet w tak drobnej sprawie autor nie może się powstrzymać od słów łajzących (tu na szczęście tylko w odniesieniu do liter) i od wypowiedzania swego indywidualnego sądu jako ogólny. — Ponieważ jednak sądzę, że w sprawach takich tylko tolerancją dojść możemy do zgody, przeto skorzystam ze sposobności i poproszę redaktora „Poradnika“, by w sprawie tak dalece wątpliwej odstąpił od ortodoksji i pozwolił mi w moich fachowych arty-

kulikach zastosować uznawaną przeze mnie ortografię. Niech potem czytelnicy sami osądzą, co wolą.

Kazimierz Nitsch.

Petersburg, 12. stycznia 1909.

II. ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI.

16. Skąd powstała różnica w utworzeniu się wyrazów: **obiór**, **odbiór**, **obiorca**, **odbiorca**, **zbiór** itp. z jednej strony, — a **wybór**, **zbór**, **zabór**, **wyborca**, **zaborca** itp. z drugiej? Mówi się przecie jednakowo: *obierać*, *odbierać*, *zbierać* i *wybierać*, *zabierać*.

W gramatyce Steina i Zawilińskiego zestawione są wyrazy pochodzące od tego pierwiastku w pięciu zasadniczych jego postaciach (str. 145—7), ale niema wyjaśnienia, dla czego powstały od tej, a nie od innej postaci pierwiastka. Jeżeli takie wyjaśnienie jest możliwe, prosiłbym o nie.

NB. Zdarzyło mi się spotkać wyraz *obór*, mianowicie w zdaniu »obór przewodniczącego wiecu« (Dziennik Poznański z czerwca 1905) i to mi nasunęło pytanie, czy można mówić *obór*, a jeśli nie, to dla czego? (B. Dy.).

— Zjawiska tego rodzaju są w języku polskim pospolite. Obok *zawierać* — *zawora*, obok *podpierać* — *podpora* — albo *miotła* — *motek*, *zaplutki* — *plot*, *zadziorki* — *udar* itp. Są to zjawiska obojętności tematów, co do pochodzenia równych, ale fonetycznie różnych; wyjaśnienie, dla czego jedne wyrazy z tego, drugie z innego pokrewnego tematu się urabiają, jest nieznanne, i trzeba się uciekać do hipotez.

17. Jaka jest najwłaściwsza nazwa geograficzna dla grupy wysp z archipelagu Malajskiego: **Sundzkie** (Nałkowski), **Sundajskie** (Romer), **Sondzkie** czy wreszcie krótko **Sunda**? Wszystkie te cztery formy można znaleźć w literaturze geograficznej. (B. Dy.).

— Jeżeli idzie o utworzenie przymiotnika od nazwy Sunda, to podług analogii utworów: *Jawa* — *jawajski*, a *Chiwa* — *chivski* widzimy, że obydwie formacje są na równi używane.

18. — **-stwo** a **-ctwo**? (J. M.).

Gram. pol. Małeckiego (Dziewiąte wydanie) w § 205 objaśnia,

które rzeczowniki mają przyrostek *-stwo*, ale nie wspomina o przyrostku *-ctwo*. Które zatem rzeczowniki mają przyrostek *-ctwo*? jak bractwo, bogactwo, sieroctwo — reguła?

— Jest tylko przyrostek *-stwo*, ale osnowy na *t* (brat, bogat-, sierot-), wskutek zbiegu spółgłosek *t + s* tworzą fizyologicznie spółgłoskę *c*.

19. Dlaczego od *wieś* tworzymy przym. *wiejski*, od *miasto*, *miejski*, a przecież od *krawiec* jest *krawiecki* i nie *krawiejski*, od *farbiarz*, *farbiarski*, od *swój* mamy *swojski*, od *złodziej*, *złodziejski* — dla czego w dwóch pierwszych słowach wstawiamy *j*? (J. M.).

— Są to rzeczy tak elementarne, że na nie jest odpowiedź wystarczająca w Małeckiego Gramatyce szkolnej wyd. 10. § 37 i 38.

20. Jak się mówi: **wstrząśnięcie** czy **wstrząśnienie**, **osiągnięcie** czy **osiągnienie**? (J. M.).

— Ponieważ imiesłowy bierne od czasowników *wstrząsnąć*, *osiągnąć* są: *wstrząśnięty*, *osiągnięty* (rzadziej *wstrząśniony*, *osiągniiony*), należałoby iść za częstszą formą i tworzyć tylko *wstrząśnięcie*, *osiągnięcie*.

21. Czytałem raz takie zdanie: »znaleźli się **popieracze** nauki i sztuki« — czy to dobrze? (J. M.).

— Nie jest to wprawdzie wyraz utarty, ale jako nowotwór jest dość zgrabny, zwłaszcza że ma zastąpić wyrazy: *mecenas*, *protektor* itp.

22. Czy dobre jest wyrażenie: »Przez utrzymywanie stosunków z Rzymem otworzyła się brama Polski dla **wnijścia** cywilizacji rzymskiej«. Wedle mego zdania jest to błędne. (J. M.).

— *Wnijście*, *wniście* jest wyrazem starszym niż *wejście* i niema powodu uważać go za błąd, dlatego tylko, że częściej używamy *wejście*.

III. POKŁOSIE.

I. Galerya miejska w świetle polskiej i obcej krytyki. Lwów, 1908.

Autor pisze:

Parę *inwektyw* (str. 14);

ton *belferski*; *motywów* szukać nie będę (str. 15);
 po *werdykcie* prawdziwej nauki zdwaja *impertynencye* i grubiaństwa (str. 16);
efekt bezpośredni był ogromny; nie odwołał *kalumnii* (str. 18);
 w jedności *samodzielnego* sądu (str. 19);
podpatrzył uczonemu jak itd. (str. 22);
 powierzchowność, *tendencya*, *kontradykcyje* to cechy tej *analizy* (str. 24);
 wskutek *frapujących* cech podniosłem moje *objekcyje* (str. 26);
 co za *orgje* rozsierzonego *subiektywizmu*; z całą *arogancyą* (str. 28);
 na podstawie fotografii, którą *reprodukuje* (str. 29);
kollaborator pomysłu (str. 30);
 tego *frazesu* niema (str. 33);
 o *finalne* oznaczenie autora (str. 34);
 z całą *fugą* zdumiewającej naiwności (str. 35);
konstatował (str. 36);
prowadzić dyskusyę na seryo (38);
 podjął *reakcyę* przeciw prądowi (str. 44);
 ma *reputacyę* romanisty; zamiast drugim *imputować* (str. 44);
 Tutaj mały *ekkurs* (str. 53);
adepci sztuki (str. 56);
 szkodliwy *dyletant* (str. 60).

Są inne jeszcze zwroty: jak np. rzecz *dużego* znaczenia; dobrze *poinformowany*; słyszałem o jego *dyagnozach*; tak źle sprawa *nie stoi* itd., a podałem tylko *znaczniejsze*, gdyż ta książka na ślicznym kredowym papierze wydrukowana, bogato ilustrowana, dostanie się w niejedne ręce.

O. N. G.

II. Z „Nowej Reformy“.

1. *gimnazistka* (zam. »gimnazyastka«, rus.; nr. 75 r. 1908 w przedkładzie nowelki Gorkija).

2. *Gnuśne* ćwiczenie (źle napisane zadanie) wystawiło córkę moją na pośmiewisko. (Tamże). W tem znaczeniu »gnuśny« używa się jedynie w języku rosyjskim.

3. Zaczął go *taszczyć* (zam. ciągnąć«, »wlec«, z ros. »taszczit'«) do pobliskiej restauracyi (nr. 532 r. 1908, tłumacz. nowelki francuskiej, i dla tego trudno zrozumieć pochodzenie tego rusycyzmu).

4. Wykonanie sztuki niezupełnie wydobyło jej *nuanse* (zam. »odcienie«. (Sprawozdanie teatralne w nr. 444 z r. 1908).

5. *Detaile* (zam. szczegóły) obrazu. (Sprawozd. z odczytu w nr. 498 z r. 1908).

6. Cesarz ma zapalenie oskrzeli, *nie posiada żadnej* gorączki (zam. nie ma wcale gorączki; germanizm »hat keine Hitze«. Nr. 468 z r. 1907).

7. Richter leży nieprzytomny, *posiada* gorączkę (zam. »ma«. Nr. 513 z r. 1908).

8. Cech rzeźników *będzie miał słusznie* (germ. zam. »będzie miał słusność«), zarzucając, że itd. (nr. 524 z r. 1908).

9. Dzienniki donoszą, że u cesarza Wilhelma od czasu znanej dyskusyi *panuje* wielka *depresja* (zam. że cesarz Wilhelm podupadł na duchu. Nr. 568 z r. 1908).

10. Przystąpiła ona do pani Steinheilowej, gdy ta już leżała w łóżku, w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy odezwali się do niej. (Sprawozdanie z głośnej sprawy morderstwa we Francyi. Nru nie zanotowałem). Wskutek złego ugrupowania wyrazów wygląda to zupełnie tak, jak gdyby p. Steinheilowa leżała w łóżku — w towarzystwie trzech mężczyzn!

B. Dyakowski.

IV. ROZTRZĄSANIA.

Projekt zaprowadzenia w »Poradniku« rubryki wzorów języka jest bardzo pożądanym i uznania godnym. Pytanie tylko, jak będzie wykonany i jaką przyniesie korzyść. Co do mnie to miałbym już teraz nieco do zarzucenia. 1. Nowe słowa, o ile mają wzbogacić język powinny być objaśnione, gdyż tylko w ten sposób mogą się przyjąć a przynajmniej zainteresować szersze warstwy. Bo cóż mi z tego, że usłyszałem wyrazy: *rozdarliny*, *pólkryże* i t. d. jeżeli nie wiem, co one znaczą. 2. To samo odnosi się do całych zwrotów; tutaj nie tylko objaśnienie, ale i ocenę estetyczną podaćby należało. Wymagają tego zwłaszcza »obrazy abstrakcyjne«. Niechże mi kto powie, jak sobie wyobrazić *krawędzie bytu*, *bladość lęku* i to *nikczemną*, *przędzę powietrza*, lub *zastygły krzyk*. Są to obrazy abstrakcyjne. Zgoda, ale przecież — zostawiając już na boku kwestyę estetyczną, — czy takie obrazy spełniają zadanie obrazów? — zdaje mi się, że bez objaśnienia nie są one bardzo »obrazowe«. »Wer zu den Sinnen nicht klar spricht, der redet auch nicht rein zum Gemüt«. To zdanie Goethego byłoby zarzutem przeciw przytoczonym porównaniom.

Z uznaniem podniósłbym zdanie inicjatora »wzorów«, że »każde pokolenie myślące i pracowite przysparza narodowi nie tylko myśli, ale i słów«. Słyszcy się często, że wyrazy obce są świadectwem związków kulturalnych z innymi narodami. Dobrze, niech więc zostaną na wieczną rzeczy pamiątkę takie wyrazy jak: *szelma*, *łotr*, *rabunek*, *gwałt* i t. p., bo żeśmy takich pojęć sobie nie utworzyli, to nie świadczy o nas ujemnie. Że dalej mamy takie wyrazy jak *filozofia*, *logika*, *poezya* i t. p., to znaczy tylko, żeśmy kulturą młodszy, więc z kulturą przyjąć musieliśmy i wyrazy. Ale że nie mamy wyrazów na pojęcia, które już sami utworzyć byliśmy powinni, to świadczy nie tylko o związkach kulturalnych, lecz także o ubóstwie a co najmniej o lenistwie umysłowym. — Czyżby takiego kolonisty jak: *stosunek* nie mogła wyprzeć polska »odnośnia«? Wyraz ten tak dobrze oddaje to pojęcie, że zdaje mi się, jakoby już istniał i był używany. Powie ktoś: nie jest tak zupełnie jasny, jak obcy. Oczywiście, żaden wyraz nowy choćby najlepszy nie będzie z początku dość jasny, ale na to poradzi łatwo dobra wola i przyzwyczajenie. — Czyżby dalej *willi* nie mogła zastąpić polska »sielica«? Nie chodzi tu o to, aby zaraz od jutra zaczęto używać wyłącznie nowego wyrazu, przeciwnie, przez równoczesne używanie obydwu nabiera nowy wyraz tem trwalej jasności. A dalej na nos możnaby zakładać nie tylko okulary, ale i »naocznicę«, zamiast *cwikiera* »naocznik«, obraz mógłby się dobrze mieścić w »objętniach« a nie koniecznie w *ramach*; *kierunek* mogłaby nam choć w części zastąpić »zwrotnia«, »dążnia« lub »rządnia«, *projekt* »przedrzut« a *warunek* »zależnia«, a kto wie, czyby dla uczących się logiki nie stała się zrozumialszą nieuchwytna *essencya*, gdyby ją nazwać po polsku: »istnia«; wreszcie na miejscu chropowatego *warsztatu* mogłaby stanąć polska »dzielnia«. Prawda przychodzi tu zaraz na myśl dzielnie, ale czyż nie używamy wyrazu dzielny, choć on pojęciowo nic nie ma wspólnego z dzieleniem. Śmiałybym też zapytać, czy nie byłby lepszy wyraz »listny« niż *listowy*, gdyż temu bruzdzi papier *listowy*, tak, iż zamiast listowego widzi się tylko *listonosza*.

Ale to wszystko zależne od: ...gdyby...

My tymczasem wolimy się popisywać obecnie słowami jako »drogą« z prawem obywatelstwa spuszczoną, choć czasem zawleczoną do nas przez obcych lokajów, kamerdynerów i tym podobnych »kulturtregerów«.

Niedawno zmarły estetyk Jungmann zalecał usuwanie z języka niemieckiego obcych wyrazów, podając jako środek ku temu zwrot do staroniemczyzny. A czy u nas nie możnaby powiedzieć podobnie?

Możliwe, że się przez te uwagi narażę tylko na śmiech wielu czytelników, ale na to odpowiadam: potrzeba oczyszczenia języka jest u nas nie mała a jeżeli kto ma lepsze od podanych projekty, niech nie chowa światła pod korzec.

Insbruck, 18 stycznia 1909.

Ks. Zenon Tarnawski.

— Zwracając uwagę Szanownego Księdza na »Roztrząsania« w nrze 1. r. b. przypominamy, że rubrykę tę nazwaliśmy »skar-bonką« a nie »wzory języka«, bo tamta nazwa lepiej odpowiada rzeczy. Zgadząmy się na objaśnianie wyrazów nowych; trudniejsza jednak będzie sprawa z obrazami, które można rozumieć w utworze czytany w związku z całością, ale którego objaśnienie i wyjaśnienie często samemu poecie sprawiałoby trudności. Przytoczone obrazy, jak *bladość lęku, przedza powietrza*, a nawet *zastygły krzyk* są dla nas zupełnie zrozumiałe i właśnie »zu den Sinnen klar sprechen« bo jako przenośnie działają silnie na wyobraźnię.

Co do zastąpienia wyrazów obcych swojskimi, pisaliśmy już tylokrotnie o tem w »Poradniku«, że się powtarzać nie możemy; pomimo przyznania pewnej wartości takim nowotworom jak *naocznicę* lub *naocznik, zależnia* i *dążnia* a zwłaszcza *istnia* i *odnośnia* wątpimy czy one zdołają wyprzeć »kolonistów«. Ale tentare non nocet... my też nawet takim pomysłem nie odmawiamy miejsca, może z tego jakie ziarno padnie na dobrą rolę i wyda owoc.

V. OBJAŚNIENIA ODPOWIEDZI.

Z »Kurjera Warszawskiego« z r. 1908.

Nr. 181. — *Panu B. S...* — Sprawa, poruszona przez szan. pana, nie jest sprawą gramatyczną, lecz zwyczaju wszechświatowego, a nawet obowiązku prawnego. Posiadacz pewnego nazwiska powinien je pisać zupełnie jednakowo we wszystkich językach; wyjątek musi być zrobiony tylko dla języków, posiadających zupełnie odmienny alfabet, np. rosyjskiego, greckiego, hebrajskiego, ormiańskiego, chińskiego i t. p. W językach polskim i niemieckim, posiadających alfabet jednakowy (łaciński), każde nazwisko rodowe należy pisać zupełnie jednakowo, litera w literę. Nie bierzemy tu w rachubę alfabetu niemiecko-gotyckiego, tak zw. »szwabachy«, która po pierwsze jest tylko odmianą alfabetu łacińskiego, a powtóre, pomimo

protekcji nieboszczyka Bismarka, wychodzi coraz bardziej z użycia, szczególnie w stosunkach międzynarodowych, a pisownia nazwisk właśnie o te stosunki zahacza. Zupełnie odrębnie stoi sprawa pisowni w różnych językach, nawet posiadających jednakowy alfabet łaciński, kilku nazwisk ludzi znakomych, genialnych, np. Gete obok Goethe, Szyler obok Schiller, Wolter — Voltaire, Szekspir — Shakespeare, a choćby tylko rozgłośnych, niezawsze w dodatnim sensie, jak Bismark obok Bismarck. Z powyższej powiedzianego wynika, że nazwisko niewątpliwie niemieckie »Schmidt« — noszący je, a chcący zaznaczyć już samą jego pisownią swoją polskość, winni pisać: »Szmit« lub »Szmid« zawsze, czy to pisząc po polsku czy po niemiecku, po francusku czy po angielsku. Tak samo: Szulc, Sznajder, Miler i t. d.

— *Panom: H...* (podpis nieczytelny na pocztówce z portretem Małeckiego) i *Janowi Mędr...* — Małecki w t. II-im *Gramatyki historyczno-porównawczej* (str. 403), traktując w składni o użyciu przypadku II-go, powiada: »Kładziemy wogóle przy wszystkich słowach, złożonych z przyimkiem *do* najczęściej przypadek II... Przyimek *do* pomiędzy wszystkimi przyimkami ma sam jeden wyjątkowo tę własność, że nie przestaje prawie nigdy rządzić swoim przypadkiem (t. j. II-im), nawet przyrastając do słowa«. Linde w *Słowniku* swoim podaje pod wyrazem »dostrzedz« przykład taki: »Nie wiem, jakim sposobem tego dostrzegli«. Wyrażenie zatem »dostrzedz błędu« może być rzadziej używanym, ale jest najzupełniej zgodne z duchem języka polskiego.

— Co do odpowiedzi pierwszej mamy tylko tyle do zauważenia, że nazwiska niemieckie rodzin obecnie polskich z »obowiązku prawnego« powinny być pisane tak, jak je ojcowie i dziadowie tych rodzin pisali. Może *Schulz* być bardzo dobrym Polakiem a *Miler* — hakatystą.

Odpowiedź druga wymaga objaśnienia dalszego. O ile *dostrzedz* znaczy: wzrokiem pochwycić, może mieć dopełnienie (przedmiot) w bierniku (dostrzegłem zdala *drzewo*), jeżeli zaś występuje w znaczeniu dopilnować np. *dostrzedz ryb, dostrzedz owocu*, to musi być połączone z dopełniaczem, bo wyraża ukończenie, dokonanie zamierzonej czynności (dokończyć listu, dobić zajęcia, dożyć wiosny).

Nr. 239. — *P. Wacławowi J...* Zamiast »katorga« należy mówić ciężkie roboty; wyraz »katorżnik« w pewnych wypadkach może zastąpić »skazaniec« lub »więzień«, innego wyrazu odpowiadającego temu pojęciu nie znamy; »galernik« zapożyczony jest z języka francuskiego. Wszak w dawnej Polsce nie było katorgi.

— Uwagi słuszne.

Nr. 294. — *Prenumeratorce B. R.*... — Wyrazy: *ischias*, *schizma* i *schemat* są pochodzenia greckiego; wchodzące w ich skład dźwięki *s* i *ch* są wymawiane oddzielnie jak w języku polskim (np. *scho-wać*, *schwycić*, *schorzały*). Niemcy grupy *sch* wymawiają w swoim języku jak nasze *sz* i wymowę tę zastosowali nawet do wyrazów greckich; że zaś nauka filologiczna w Niemczech kwitła i ztamtąd płynęła między innymi i do nas, więc też i błędna wymowa powyższych wyrazów do nas się przedostała. Wszyscy nasi filologowie uważają za jedynie poprawną wymowę i pisownię: *ischias*, *schizma*, *schemat*. Akademia krakowska w swoich własnych »Uchwałach« o pisowni polskiej o tych wyrazach wcale nie wspomina, ale wydając swe »Uchwały«, dołączyła do nich w tej samej broszurce elaborat komisji powołanej przez radę szkolną krajową, w którym znajdujemy taki przepis: »*sch* nie *sz* w wyrazach z greckiego: *schematyzm*, *schizma*, *scholastyk*«.

— Zupełnie słusznie.

Nr. 298. — *Ciekawemu*. *Lepak* w starej polszczyźnie używany zamiast — zaś, lecz, przeciwnie, atoli. *Lepak* w zoologii znaczy — drozd.

— Dodać wypada, że *lepek* w staropolszczyźnie znaczy również *znou*.

Nr. 311. — *Pani Stanisławie Eugenii Z.* — W języku polskim wyrazy *planeta* i *kometa* są rodzaju żeńskiego; świadczy o tem najmowniej przytoczoną właśnie przez szan. panią drugi przypadek liczby mnogiej: *planet*, nie *planetów*. W języku greckim, skąd je wzięto, są one istotnie rodzaju męskiego (*planetes*, *kometes*), a to dlatego, że są właściwie przymiotnikami (*planetes* — *błądzący*, *tułający się*, *kometes* — *włochaty*, *z warkoczem*), przy których domyśla się rzeczownika »*aster*« (gwiazda; w języku greckim »*aster*« jest rodzaju męskiego). Małecki (»Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego«, t. I. str. 164—5) pisze: »Za żeńskie uważać należy wzięte z greckiego *kometa* i *planeta*, lubo w greckim są męskiego rodzaju. Ich bowiem zakończenie *a*, a niemniej i znaczenie gwiazdy, którąśmy przywykli raz na zawsze uważać za coś żeńskiego, nadaje im w polskim wyobrażenie istot żeńskich«. W starej polszczyźnie istniała (w 1-ym przyp. liczby pojedynczej) forma »*planet*«, w l. mnogiej: *planetowie*, *planetów*... bezsprzecznie rodzaju męskiego i to właśnie mogło się przyczynić do używania także współczesnej »*planety*« w rodzaju męskim.

— Odpowiedź wyczerpująca.

VI. NOWE KSIĄŻKI.

Słowniczek najpospolitszych rusycyzmów zebrał L. Czarkowski. Wilno 1909. Druk. nakład. J. Zawadzkiego.

Ciekawa i niezmiernie pożyteczna książeczka, o ile ci, którzy tak strasznie szpecą język polski, wezmą ją do ręki a przestrogi Szan. Autora wezmą do serca.

Po objaśnieniu, co Autor rozumie przez rusycyzmy, i po ich podziale następuje abecadłowe zestawienie po lewej rusycyzmu, po prawej właściwego wyrażenia polskiego. Kończą książeczkę »Uwagi ogólne«. W »Słowniczku« znajdujemy sporą ilość wyrazów, które rusycyzmami nie są, ale wyrazami przeważnie łacińskimi lub francuskimi, przyswojonymi prawie do wszystkich języków (np. akurat, apetytny, arenda, balkon, biust, bufet, debaty, ekwipaż, element, emigrant, fikcyja, gradus, gwarancya itp.), mimo to nie uważamy ich za zbyt cenne, chociaż z tytułem nie mają nic wspólnego, bo skoro »słowniczek« podaje ich równoważniki polskie, całkiem dobre, może pozwoli pozbedziemy się tych naleciałości.

Na to lub owo w »Uwagach ogólnych« możnaby się nie zgodzić, (sformułowanie bowiem »reguł« nie jest rzeczą łatwą) zwłaszcza że pewne końcówki przypadkowe mogą nie być rusycyzmem, ale zachowanym przypadkiem dawnym (np. celow. l. poj. *człowieku* dziś *człowiekowi*, lub mian. l. mn. *nocy* dziś pospol. *noce*) ale w całości są to uwagi trafne.

R. Z.

KORESPONDENCYA REDAKCYI.

P. Cz. Tark... w Białej. Odpowiemy kolejno, ale nie wiemy komu, bo nazwisko niedokończone. Nie odpowiadając z zasady anonimom prosimy o łaskawe zgłoszenie się kartką z całym nazwiskiem. — *O. N. Gol. we Lwowie.* Dziękujemy za »Pokłosie« i polecamy się nadal łaskawej pamięci. Pożądane nam bardzo wykazy błędów w dziełach poczytnych autorów, ale trzeba obok błędu powiedzieć jak być powinno; samo wytknięcie nie nauczy wiele.

TREŚĆ: I. Z badań nad językiem polskim przez Kazimierza Nitscha. — II. Zapytania i odpowiedzi (16—22). — III. Pokłosie przez O. N. G. i B. Dyakowskiego. — IV. Roztrząsania przez Ks. Zen. Tarnawskiego. — V. Objasnienia odpowiedzi z »Kurjera Warszawskiego«. — VI. Nowe książki (słowniczek rusycyzmów) przez R. Z. — Korespondencya Redakcyi.

Przedruki w całości lub w części dozwolone tylko z podaniem źródła.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Roman Zawiliński.**

Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskiego.